



W Białsku, dnia 7 lipca 1907.

Jedność w małżeństwie.

Niezgoda małżeńska jest nieszczęściem jednym z największych, bo jeśli małżonkowie upamiętać się nie chcą, to niema na tę klęskę lekarstwa; ten środek bowiem, który na nią wymyślono, to jest: rozłączenie, jest złem równie jak tamto wielkiem i niepowetowaniem, bo jest rozerwaniem rodzinnego węzła.

Pomnijcie więc, mężu i żono, których lada drobnostka do wzajemnego gniewu pobudza, którzy nie chcecie sobie nawzajem ustąpić, ale uparcie na swoim pragniecie postawić, którzy znieważacie się, obrzucając gradem słów żelźwych lub grubiańskich przekleństw, nie zważając na złożoną przed Bogiem przysięgę wspólnej, małżeńskiej miłości, — pomnijcie że każda boleść serca szyderstwem zadana, że każda łza okrucieństwem wyciśnięta, kamieniem pośpiecia spadnie wam na duszę, bo Bóg nie pozwoli bezkarnie łamać przyrzeczenia które sam zatwierdził.

Ponieważ mężczyzna jest głową rodziny, niech pamięta, że każda władza opiera się na obowiązkach. Otóż on ma sobie poruczone wszelkie codzienne potrzeby żony i dzieci. Pracą swoją spłaca on dług zaciągnięty względem rodziców, którzy go wychowali, a zarazem zapewnia byt własnej rodzinie. Cóż mówić o lekkomyślnych i występnych mężach i ojcach rodziny, którzy swoją lub żony krwawą pracą, niosą do szynku w grono zepsutych towarzyszy i tym sposobem, za własne pieniądze spożywają truciznę, oddając się wybrykom nadużycia? Jakaż hańba i plaga są oni dla żon i dzieci!

Prawo ludzkie nie wiele wymaga od męża tj.: opieki i pożywienia. Lecz oprócz tej opieki materialnej, jest jeszcze inna duchowa, to jest opieka mocnego nad słabszym. Prócz miłości i poszanowania dla żony, musi mieć i troskliwość, z jaką winien od niej usuwać wszelkie niebezpieczeństwa i pokusy, które jej grożą przez brak doświadczenia. Niech nie zapomina, że on nietylko jej życiowe potrzeby ma zaspokajać, ale dbać i o jej duszę, a

nie zrażać ją zimną obojętnością i zaniebaniem.

Ojciec rodziny powinien też nietylko być dobrym mężem, ale opiekunem swej dziatwy, i jej wychowawcą. — Matka wprawdzie głównie wychowaniem się zajmuje, ale ojciec w niem także wielki powinien mieć spółudział przez swą powagę i stanowczą roztropność. Jak nieodżałowaną jest strata dobrego ojca rodziny, dowodzi boleść i skargi pewnej żony robotnika fabrycznego, który mając zaledwie 45 lat wieku, umarł dotknięty śmiertelną chorobą. Nieszczęsna wdowa otoczona 7-giem dzieci, z których najmłodsze, w kolebce jeszcze, rzewnie płakało, słysząc szlochanie innych, — była w żalu niepocieszoną. Mimo uspokojień i przedstawień przyjaciół, żałamywała ręce i powtarzała z boleścią: — „Któż teraz będzie wychowawcą tych 7-ga sierot. Jak piękny przykład zawsze im dawał! Z jaką miłością je nauczał, od złego odwracał, a prawdziwie chrześcijańskie życie im zalecał! W niedzielę chodził z nimi do kościoła a w domu tłumaczył im co tam słyszały, albo czytał pięknie z książki. Teraz ja sama im zostałam; nie potrafię go zastąpić. Ból mego serca ten tylko może zmierzyć, kto wie, co znaczy, nietylko stracić żywiciela, ale i dobrego ojca wychowawcę!“ —

Oto wzór bogobójnego i troskliwego ojca rodziny, kochającego męża, pomagającego żonie w kształceniu dusz dziecinnych.

Ale czy dużo przykładów takich śród nas, widzimy? Wszak nieraz mężczyzna, jako głowa rodziny, nietylko pomoc w wychowaniu dzieci lekceważy, ale i towarzyszkę życia zaniedbuje, drażni i do złego przez to popycha! — Jakże często, jedno tylko niebaczone, przykre słowo, staje się śród małżonków zerwaniem jedności, podkopuje wspólną wiarę i zaufanie, popycha na fałszywą i błędną drogę, doprowadza do znieważenia domowego ogniska! Gdzież jest wtedy, ta konieczna w małżeństwie, wspólność uczuć radości i cierpień, gdy np. mąż lub żona szuka gdzieś poza domem nieprawnych rozrywek? Gdzież wspólność w modlitwie, jeśli pierwszy i ostatni raz,

można ich było widzieć w dzień ślubu razem się modlących i i Ciało pańskie pożyczających?

Świat ze swemi pokusami jest niebezpiecznym dla nas wszystkich wrogiem; jego powaby i zabawy grzeszne często wyciągają nieznacznie męża lub żonę z domowego ogniska. Jeśli z nich które spostrzeże niebezpieczeństwo, niech przestrzeże drugie, niech podwoją wtedy troskliwość wzajemną, przypomną sobie przysięgę ślubną, starają się pobyt w domu zrobić miłym i przyjemnym, by od zejścia na złe drogi nawzajem się uchronić.

Niech się miłują, przebaczają sobie wspólnie i wspierają się na tej drodze życia, prowadzącej sprawiedliwych do spokoju i szczęścia wiekuistego.

Serce ludzkie.

Serce ludzkie, to drzewo, co w wiosnie
W strój majowy się zdoła radośnie,
Latem wieńczy koronę swą w kwiaty,
By na jesień plon wydać bogaty;
Wreszcie z szaty odarte swej w zimie,
Traci siły, przysycha i drzemie...

Biada drzewu, gdy mu liście zielone.
Już wśród wiosny poszarpią owady!
Biada sercu, gdy w niem marzeń zasłone,
Zedrze z młodu zwątpienia duch błady!

Biada drzewu, gdy mu latem brak rosy,
Bo śród skwaru zbyt prędko usycha!
Biada sercu, co nie patrząc w niebiosy,
Czerpie życia treść z zmysłów kielicha!...

Biada drzewu, gdy w jesieni przedwcześnie,
Wiatr mu owoc i liście rozwieje!
Biada sercu, gdy w niem życie boleśnie
Starga męztwo i zgasi nadzieję!..

Biada drzewu, gdy w zimowej zamieci,
Miał snu znaleźć godzinę skonania!
Biada sercu, gdy mu jasno nie świeci,
W chwili śmierci, brzask zmartwychpowstania!..

Serce ludzkie, to drzewo, — jak ono
Często wieńczy się szczęścia koroną
I przeszedłszy przez lato uniesień,
Owoc czynów przynosi na jesień,
Czasem wędnie w rozkwitu godzinie.
A niekiedy i z wiosną już ginie.

F. Nowodworski.

Do niewiast katolickich!

„Kto wierzy we mnie, jako mówi pismo,
rzeki wody żywej popłyną z żywota jego“.
(Sw. Jan 7. 38).

Kampania wyborcza przeszła i jak dawniej, a może jeszcze bardziej podnieciła i zajęła umysły. Także my, żony, matki, siostry brałyśmy żywy udział w walkach, które krajem poruszały. Teraz, kiedy już walka ukończona i rozpocznie się praca wybranych, chciałabym się zwrócić z paru słowami do moich spółtowarzystek; widziałyśmy bowiem i usłyszały tyle w ostatnich tygodniach, że niepodobna, aby i dla nas nie wyłoniło się żądanie, żądanie mianowicie wyjścia po za obręb ogniska domowego i w duchu prawdziwej emancypacji przyścia z pomocą tej pracy, która powinna być celem działalności parlamentarnej, t. zn. pracy nad uszczęśliwianiem ludu. Tak! W tem widzimy nasze zadanie. Stańmy się matkami w obszerniejszym znaczeniu, matkami dobrego, ale tumanionego po bezdrożach prowadzonego ludu. Wspomnijmy na słowa naszego Zbawiciela „Ża! mi tego ludu“ i na słowa wielkiego papieża Leona XIII. „Idźcie w lud“. Wprawdzie te ostatnie skierowane były do kapłanów, ale dlaczegoż nie mamy zastosować ich do nas; wszak mówią do nas, „matki są kapłankami ogniska domowego“. Nie zaniedbując tych pierwszych wielkich i świętych obowiązków, owszem wypełniając je wiernie — starajmy się jednak urzeczywistnić owe hasła w szerokich kołach.

Na brak czasu nie uskarżajmy się. Godzina dziennie (wedle możliwości i więcej) poświęcona pracy nad dobrem ludu powinna znaleźć, jeśli tylko zredukujemy nasze zajęcia bezowocne, jeśli tylko rzekniemy się zatrudnień podrzędnych i bezużytecznych. Odwiedzajmy przyjaciółki — odwiedzajmy chorych; przyjmujemy przyjaciółki — otwórzmy drzwi nasze ludowi, zbliżmy się do niego, poznamy jego potrzeby, jego charakter i obyczaje. Z początku przyjdzie walczyć z trudnościami, zajęcie wyda nam się nieswojskie, ale powoli nauczymy się

wiele i doznamy radości. Bądźmy tylko matkami współczującymi, uczynnymi matkami. Tą cichą pracą zdobądźmy serca tych, którzy pomocy, zrozumienia, współczucia pragną. Jeśli nie znajdą tego u czułych matek, wtedy staną się łupem siejących kłamstwa żywiołów. Tym tylko sposobem powstrzymamy zdala tumanienie od naszego ludu, od naszych wiosek, od biednych. Nie lędzmy się! Sprawa nader poważna, chwila nieczmiernie doniosła. Wiare chcą wydrzeć ludowi, nasze najświętsze dobra, nierozzerwalność małżeństwa, katolickie wychowanie młodzieży, wychowanie naszych i ludu dzieci, a tem samem i przyszłość społeczeństwa w niebezpieczeństwie. Ratuńek konieczny! Nie szczędźmy więc miłości obfitej, serdecznej, miłości opierającej się nie na marnym groszu, ale słowem i czynem się przejawiającej. Pociągnijmy ku sobie serca, serca biednych matek, poznamy ich bóle i ofiarujmy radę i pociechę. Stwórzmy w całym kraju ligę niewiast, podających sobie jedną rękę, a ludowi drugą. W tem szukajmy prawdziwej emancypacji, prawdziwego ruchu kobiecego, prawdziwej wolności kobiecej.

Już sam Bóg powiedział do Adama: „Nie dobrze mu być samemu“. Nie pozostawiamy więc naszych mężów, naszych synów, naszych braci samych w ciężkiej walce z socjalizmem, z żywiołami przewrotu. Sami przyznają, że potrzebują towarzyszek, współpracownic. Do dzieła więc w imię Trójcy Przenajświętszej, w imię miłością gorejącego Serca Jezusa, w imię Tej, która nam pod krzyżem oddaną została, aby być wzorem hasła „wszystko dla wszystkich“. Stańmy się siostrami w tej pracy, wspierając się wzajemnie, dodając sobie otuchy, dzieląc się doświadczeniami. „Pracujmy życie całe — wedle słów pobożnej niewiasty — wieczność całą do odpoczynku mieć będziemy“. Porozumiewajmy się wzajemnie, znajome czy nieznanne; poznamy się bowiem wkrótce po tym jednym duchu, który nas ożywiać będzie, w tem jednym Sercu, źródle dobroci i miłosierdzia, które wszystkie uwielbiamy i czcimy, które naśladować pragniemy, w

Jego nieustającej miłości ubogich, chorych, opuszczonych, płaczących i grzeszników. Założmy ligę niewiast pod Jego sztandarem; Judyta, Joanna d'Arc mieczem wywalczyły zwycięstwo, my zaś za przykładem św. Jadwigi, bł. Kingi, św. Elżbiety miłością walczyły i serca zdobywamy.

W Imię Jezusa, Maryi i Józefa!

Marya hrabina Rességnier-Kinsky

Nisko.

Do każdego porozumiewania się w sprawie chrześcijańsko-socjalnej niewieściej działalności zawsze gotowa, proszę również o nie, proszę o współpracownictwo, o pouczenie, słowem o wszystko, co do celu prowadzić może.



Na obcej ziemi.

Obrazek z życia emigrantów.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem Andrzej rzucał się na posłaniu i wołał:

— Daj spokój Magdo! Dla miłości Pana Boga, a masz ty rozum kobieto, na taki skwar sukmanę odziewać! — Zdawało mu się, że w Olszance jest i przed chatą na ławie siedzi, a Magda sukmanę mu na plecy kładzie. A tu słońce tak pali, że aż poty nań występują.

— Wiesz Magdo, — mówi, — dużo światów widziałem, dużo ziemi objechałem, ale pedam ci kobieto, nikiej tak pięknie, jak w Polsce u nas.

Chwilę leżał spokojnie, aż naraz zaczął się uśmiechać. Tak mu się przedstawiało, że najstarszy syn jego Szymon z Maryną Kidałówną tańczy i tak wywija i przytupuje, że aż drzazgi z podłogi lecą.

— Chwacko tańczy, — szepce Andrzej. A skrzypce rzną od ucha znajomą mu dobrze melodyę.

— Suri! suri! suri! za kominem!

Coraz więcej par wiruje przed oczyma Andrzeja; chłopaki jak jasne płamy świeca białością swoich sukman, a dziewczęta odbijają przy nich niby polne maki, krasnem chustkami.

W tem drzwi z impetem otwierają się i do karczmy w szalonych podskokach wpada duży podwórzowy pies Burek, po drodze przewraca stół z naczyniem i dopadłszy Andrzeja, zaczyna lizać jego ręce, patrząc radośnie w oczy swego pana.

— Poznała mnie psina, — mówi Andrzej a Burek skomląc tuli się do nóg jego.

Aż tu raptem dzwony zaczynają bić. Tak dzwonią, że aż w głowie Andrzeja huczy.

„Na sumę sygnują... — szepce Andrzej.

Tak mu się widzi, że do kościoła spieszy i idzie miedzą, a zboże w pas mu się kłania, a habry niebieskimi oczami błyskają i śmieją się doń.

— Jak to urodziło! — mówi Andrzej z lubością pełnych kłosów dotykając.

W Polsce jestem, — między swymi, myśli z rozkoszą i spogląda z rozrzewnieniem na zaoraną ziemię, — potem i łzami zroszoną, na białe chałupy i na łąki.

Z łąk tych wiatr niesie zapach świeżo skoszonego siana, i słysząc smutny głos fujarki, na której pastuszek wyśpiewuje swoją nędzną dołę.

A z sąsiedniego stawu dolatuje rechotanie żab, które zgodnie, chórem zawodzą:

— Rade! rade! rade!

— Radujta się! radujta! — mówi uśmiechając się z zadowoleniem Andrzej.

Jakieś ciepłe, dobre uczucie ogarnia duszę jego. Mimowoli schyla się i bierze w swoje spracowane dłonie garść ziemi ciepłej, ogrzanej promieniami letniego słońca. Z miłością, delikatnie przesypuje ją w dłoniach. — Jak ona pachnie, gleba jego ojczysta, że aż się chce przytulić do łona tej świętej karmicielki, jak do matki rodzonej.

— Biedna ona, myśli Andrzej, — smutna, pokrzywdzona, zmęczona, ale taka dobra, droga, święta...

I płakać mu się chce z żalu, że ją był opuścił dla chęci zysku, że zdradził ziemię

swoją rodziną. Coraz się smutniej robi Andrzejowi i coraz wolniej posuwa się ku kościołowi.

W kościele nic się nie zmieniło. Nawet ołtarze po dawnemu pięknie kwiatami przystrojone. A i ksiądz Piotr w tym samym ornacie, w złote kwiaty haftowanym, ze Mszą św. wychodzi.

A organy tak grają, że się aż płakać chce. Ludu w kościele moc i wszystkich, za którymi tęsknił i o których myślał, Andrzej przed sobą widzi.

Oto i Wasilukowie i Obrochtowie i stary Marek ze swoim synem i wójt ubrany odświętnie i kum Prot i wszyscy, jeden przez drugiego, rozpychując się łokciami, tłoczą się ku wielkiemu ołtarzowi, gdzie z obrazu Matka Boska Częstochowska, oczyma pełnemi miłosierdzia na zamodlony lud swój spogląda.

Po skończonej sumie, ksiądz przed ołtarzem przykląkł i drżącym głosem zaintonował:

— Święty Boże! Święty Mocny!

Święty a Nieśmiertelny!

Zmiłuj się nad nami!

A lud, jak jeden człowiek, na kolana upadł i składając spracowane dłonie, w jedną, potężną pieśń się złączył.

Andrzej czuł, że serce jego zalewa słodycz wielka i rozrzewnienie, że ogrom tego uczucia nie może się zmieścić w jego piersi; łkania wyrывały mu się z ust, a po twarzy łzy gradem leciały.

O Jezu mój! Jezu! — szeptał tylko.

Skrucha, żal, a zarazem szczęście i błogość wielka, bezgraniczna, napełniały jego duszę.

— My grzeszni, Ciebie Boga prosimy,

Wysłuchaj nas Panie!

Rozbrzmiewało z tysiąca piersi po całym kościółku z wiarą z prozbą gorącą. Dym kadzideł unosił się w powietrzu, a pieśń potężniała, rosła, przenikała sklepienie kościoła i leciała wprost do Nieba. Pot spływając po twarzy mieszał się ze łzami rozmodlonego ludu, który, porwany, rozkochany, zrosły z tą pieśnią grzmiał bez pamięci, ile mu sił starczyło.

Przez okno wpadają złote promienie

słońca. Ślizgają się swawolnie po twarzach chłopskich, muskają pochyloną siwą głowę księdza Piotra i padają na Obraz Najświętszej Panny, w której Oblicze, chciwie zachwyty pełen, wpatruje się Andrzej.

W snopach słonecznego światła twarz Najświętszej Panny tchnie życiem i oczyma pełnemi wszechmiłości i przebaczenia spogląda na Andrzeja. Lecz on już nie widzi, żyły mu napływają do oczu i już nie klęczy, lecz osuwa się zupełnie na podłogę i szlochając, w prochu korzy się przed Najświętszą Panną.

Jak dobrze mu w umiłowanym kraju!
Jak błogo między swymi!

(Dok. nast.)



ZŁOTE ZIARNKA.

Jest wielu ludzi, którzy na bogatych patrzą jakoby przez dziwne okulary: bogacz głupi wydaje im się mądrym, garbaty prostym, stary młodym. — W ich oczach pieniądź wszystko zmienia, pokrywa i upiększa.

Nie bądź z liczby tych bezrozumnych: pamiętaj, że te metalowe blaszki i te płatki papierowe, nigdy człowieka lepszym nie czynią; owszem, nieraz serce przed dobrym czynem zamykają.

Gdy pieniądze posiadasz, nie zapominać, że są one boskie, nie twoje — i używaj ich uczciwie.

Pysznisz się, mając mądrość, bogactwo, urodę... Lecz nie myśl, że ich będziesz przez wieki używać. Bo one, jak te listki rzucone na wodę, są skazane, by z życiem zarówno upływać.

Śluchaj, co powie tobie dźwięczny odgłos dzwonu. To uroczyste z niebios do ciebie wołanie; — I rzeknij, gdy cię dojdzie brzmienie jego tonu: „Nie swego nie mam, wszystko od Ciebie, jest Panie!”



Listy do czytelniczek „Niewiasty.”

Pogadanka na weselu.

Jak nasi włościanie, — zwłaszcza w niektórych stronach kraju, — chciwi są wiedzy, a jak mimo to łatwowierni są jeszcze w obec baśni, jakie im niejeden pół nędrek prawić, co niby w świecie się ocie-
rał trochę, — na to byłoby wiele przykładów. Ja tu wspomnę tylko o jednym, którego niedawno sam byłem świadkiem.

Zaproszony zostałem na wesele mające się w tej samej wsi odbyć, w której jestem nauczycielem. Ukończywszy zwykłe czynności, udałem się do weselnego domu, — gdzie mnie jako gościa w pewnym stopniu „integritnego” i kształciiciela dziatwy, przy-
ęto z niejakiem odznaczeniem a przytem bardzo serdecznie.

Wszedłszy do izby, pochwaliłem Pana Jezusa, a powitawszy obecnych, życzyłem m dobrej zabawy. Gdyśmy zasiedli, zaczęły się pogadanki o tem i owem.

Jakkolwiek dom to był bardzo gościny, a poczęstunek, jak zwykle na weselu, obfity, nie zauważyłem, aby którykolwiek z biesiadników przebrał miarę w trunku. Owszem, wszyscy najzupełniej trzeźwi, otoczyli mnie szerokiem kołem i w krótkce zapytany zostałem pytaniami różnego rodzaju i najwięcej ich było z dziejów narodowych, i: kiedy i jak powstało państwo polskie, ak wzrastało i czemu upadło?

Starłem się obszernie i dokładnie objaśniając ich o wszystkim, zaspokoić ich ciekawość. Zeszło nam na tem parę godzin, a widziałem, że trud mój nie był laremny, bo owi słuchacze z natężoną uwagą, chwyтали każde słowo.

Gdy na razie skończyłem i zrobiła się przerwa, zbliżył się do mnie jeden z wieśniaków, nazwiłem Wiechciński i zapytał rochę nieśmiało:

— Możeby też nam p. nauczyciel powiedział jeszcze, czy to prawda co nam ten Śledziński opowiada?

— Któż jest ten Śledziński? — spytałem.

— To urlopnik z drugiej wsi. Nie robiłem na razie żadnej uwagi, tylko znów spytałem:

— I cóż ten Śledziński wam opowiadał?

— Prawił nam, proszę pana, że był w piekle.

— To bardzo być może, — powiedziałem — wszak jest, jak wiem, w górach wieś, która się „Piekłem” zowie, a i za Błazową stoi karczma, tę samą nazwę mająca.

— Ej nie, proszę pana, — rzecze na to Wiechciński, — on powiada, że był w prawdziwem piekle.

— A tóż jakim cudem?

— Ha, no, mówił Śledziński, że jak był wojakiem, to stał o Litani (to miało znaczyć w Italii, czyli we Włoszech), bo tam nasz cesarz prowadził wojnę z Turkami; i opowiadał też, że 140 mil za Rzymem jest w jednej górze piekło, a na niej sto kościoł św. Michała, co to dyabła uduślił. Ale do tego kościoła nikt nie może dojść, bo zaraz góra się trzęsie i grzmi. Śledziński tam był i wszystko widział. Może to i prawda?

— Moi ludzie kochani, — rzekłem na to, — co wam napłócił ten bajczarz, to same kłamstwa. Chce udawać mądralę a przecie naprzód, wie każdy z was, że nikt żyjący nie mógł być w piekle, boby stamtąd nie wrócił. Powtóre, cesarz nasz wojny z Turkami we Włoszech nie prowadził, a choć była tam wojna z Włochami, to Śledzińskiego wtedy jeszcze na świecie nie było. Zresztą, jak mi na pewno, opowiadano nie był ten półgłówek w żadnej wojnie, tylko w jednym z Krakowskich szpitali posługiwał chorym, a nawet, jak się sam przyznał, upijał im zawsze winą, a wody dolewał. Wiem o nim zresztą, że zanadto lubi zaglądać do kieliszka i tumanić ludzi.

Obejrzałem się dokoła i zobaczyłem dużo twarzy zdziwionych między słuchającymi.

— A jakże jest z tą górą, co to niby piekło w niej ma być? — zagadnął znowu Wiechciński.

— Otóż Śledzińskiemu ktoś zapewne opowiadał o górze zwanej Wezuwiusz,

która rzeczywiście za Rzymem się znajduje, obok miasta Neapolu. Wybuchła ona nie-raz ogniem, wyrzucając z siebie kamienie ognistą rzekę, zwaną „lawa“, ale na niej gościół ani też żadna inna budowa stać nie może, bo dawnoby się w głąb góry zapadła.

Następnie powiedziałem jeszcze moim słuchaczom jak powstały wulkany, czyli góry ogniem ziejące i o różnych rzeczach mogących ich zająć. Kiwali oni głowami, wspominając niedorzeczności, jakimi im głowy naładował Śledziński i postanowili nadal nie dać się podobnym bajkom zbałamucić.

Z powodu późnej godziny, pożegnałem serdecznie całą weselną drużynę, obiecując, na ogólne żądanie, znów zejść się kiedy na pogadankę, a zdarzenie opisałem tu dla rozrywki i pożytku kochanych Sióstr Czytelniczek „Niewiasty“.

Władysław S.
nauczyciel.



Rady lekarskie.

Odmrożone w zimie członki najlepiej leczyć w lecie i w jesieni przez nacieranie kamforowym spirytusem, solą ze spirytusem albo też naftą. Gdy powróci zima, utrzymywać te członki ciepło, zwłaszcza w nocy i smarować łagodzącymi maściami; przefionym łojem lub klejem stolarskim (zimnym). Co do nagłego ratowania odmrożeń w zimie, to już każdy wie zapewne, że najlepszym środkiem jest nacieranie śniegiem a unikanie ciepłego pieca, ciepłej wody itp. któremi tylko nierozsądni pomagać czasem próbują.

Zastrzał w palcu powtaje z zakłucia głą, z oderwaniem zadry lub wbicia drzazgi za paznokieć. Robi się też czasem bez widocznej przyczyny, a zawsze bywa bolesny, zwłaszcza, jeśli dochodzi głęboko, czasem do samej kości. Koniec palca jest przy zastrzale zaczerwieniony a w środku

ropieje. Najlepiej jest na to robić gorące parowania i moczenia, przez co ropienie prędzej się odbywa. Gdy ukaże się na palcu białe miejsce, trzeba je zrecznie przekłuć lub naciąć dla wypuszczenia ropy. — Gdy ropa ta zbiera się pod paznogciem trzeba go szkłem o tyle zeszkrobać, aby łatwiej było zrobić w nim otworek. Aby palec całkiem wygoił się, trzeba go często w wodzie moczyć i utrzymywać w czystości a miejsce zranione okładać starem płótnem wysmarowanym tłuszczem.

Przeciw oparzeniu. Liść kaktusa rozerznąć na pół, płasko i zaraz przyłożyć na miejsce oparzone, a zagoi się bez bólu i w krótkim czasie.

Przeciw poceniu się nóg używa się żytnich lub pszennych otrąb, które po wciągają i chłodzą nogi. Otręby te wyciupują się do pończoch i codzień się zmienia je na świeże, przynajmniej z początku. Gdyby na nogach porobiły się rany z potu, dobrze jest nacierać ciepłym kozłowym łojem.

Liście z bzu czarnego (lekarskiego), pomocne są, gdy kto chce na wiosnę soki i krew wyczyścić. — Zerwawszy codzień 6 do 8-miu listków, pokrajać cienko jak tytoń i gotując przez 10 minut, wypić szklankę naczno, na godzinę przed śniadaniem. Pić takie lekarstwo przez czas dłuższy: 4 do 9 tygodni.



Rady domowe.

Wilgoć, którą w pokoju łatwo poznać można po pleśni, jaka na rzeczach osiada — można ususzyć, stawiając w nim naczynie z niegaszonym wapnem. Wapno takie wciąga w siebie wilgoć, która po pewnym czasie ustępuje.

Przeciw wypadaniu włosów, skutecznym środkiem jest kwiat wrzosu. Zbiera go się, gotuje w wodzie, a precedziwszy przez rzadkie płótno, zlewa do butelek. — Tym płynem trzeba zwilżać głowę.

Myszy wystraszyć z mieszkania można, napuszczając w otwory, po trochu nafty.

Czy mąka jest fałszowana można oznaczyć następującym sposobem: Garść mąki ściśnie się mocno w dłoni i położy na stół. Jeżeli się trzyma w kupce, to znak, że dobra; jeśli się zaraz rozsypie, widać, że zawiera jakąś niepotrzebną przymieszkę.

Oceć brany ze sklepu, bywa nieraz fałszowany kwasem siarczanym, który jest zdrowiu bardzo szkodliwym. W następny sposób można go wypróbować: Na miseczkę porcelanową wlewa się kilka kropli octu z odrobiną cukru i stawia się to na płaszczyźnie gorącej, aby miseczka nie pękła. Jeśli po wyparowaniu, osad zczernieje, ocet szkodliwym kwasem jest fałszowany.



Rozmaitości.

Zła matka i dobry pies. Przed kilkoma dniami w Kolonii przechadzał się pewien egomoczek za miastem z psem swoim. Nagle obok lekkiego wzniesienia przy drodze pies stanął i obwąchawszy ziemię, zaczął zajadłe skowyczeć. Nadszedł inny przechodzień i obaj panowie rozgrzebawszy świeżo usypany pagórek, natrafili na zwłoki niemowlęcia około 3-miesięcznego. Po chwili jednak, snadź pod wpływem świeżego powietrza, dziecię zaczęło oddychać, przewiezione zaś natychmiast do szpitala Oppenheima w ciągu kilkanastu godzin odżyło zupełnie. Nie ulega wątpliwości, że dziecko zakopała wyrodna matka.

O trzy całusy. Panna Wilson z Ohio w Ameryce starała się napróżno o aresztowanie dentysty z Kolumbii, który ją ze swej strony zaskarżył o niezapłacenie rachunku. — Panna Wilson kazała sobie wstawić trzy zęby. Gdy spoczęła na fotelu i dentysta była tak czarująca, iż lekarz zamiast trzech zębów wziął od niej trzy całusy.

Oburzona żądała od niego energicznie wytłumaczenia, a otrzymawszy jego rachunek, zapłaciła zamiast 20 tylko 11 dolarów, ponieważ przypuszczała, iż za każdy całus należy zapłacić, względnie odciągnąć z rachunku trzy dolary. — Dentysta twierdził, iż całusy nie posiadają ustalonej ceny, mimo to jednak sąd skazał go na zapłacenie 20 dolarów kary, za nadużycie zaufania owej panny, tej zaś nie przyznał nic, ponieważ dentysta miał słuszość, twierdząc, że całusy nie mają ustalonej ceny. Do oznaczenia wartości całusów panny Wilson, trzeba by było zwołać rzeczoznawców na co jednak ona się nie zgodziła.

Sam się złapał. Pewien restaurator w Berlinie nie lubił płacić swoich długów. Fantowanie zazwyczaj nic nie pomogło, bo wszystkie meble należały jego żonie. Ale trafił frant na franta, który mu wyrznął kuranta. Pewnego dnia wchodzi do restauracji dwóch panów, którzy kazali sobie podać śniadanie i butelkę wina, do której gospodarza zaproszono. Po ukończeniu śniadania jeden z przybyłych gości położył 100 markówkę na stół, a gdy gospodarz wydał resztę i chciał banknot zabrać, nakrył drugi gość ręką wszystkie pieniądze, a wylegitymowawszy się jako komornik sądowy, swego towarzysza zaś jako wierzyciela, wszystko zabrał. Można sobie wystawić minę wywiedzionego w pole restauratora.

Miedzy sąsiadami. Kuba. Cóżecie tak pochmurni, kumotrze?

Wojtek. A jakże nie mam być pochmurny, kieć mi koń zdechł.

Kuba. — A toć możecie się jeszcze cieszyć, że wam zdechł.

Wojtek (trochę zagniewany): A to po jakiemu?

Kuba. Ano, bo jakby wam był umarł, to musielibyscie jeszcze pogrzeb sprawić.

Słuszne oburzenie. Złodziej (przy odprowadzeniu go do więzienia): — Tylko grzeczniej, panowie dozorczy; gdyby nie było takich jak my, tobyście z głodu pomierali.